

Wietnam: dwa światy

Zimą 2006/2007 udałem się samolotem aeroflotu do Indochin. Wylądowałem wieczorem w ciemnym Hanoi. O poranku wyszedłem na skwer i zobaczyłem małych Wietnamczyków, którzy biegają, gimnastykują się i grają w komетkę. Przez prawie miesiąc poznałem dwa kraje, które straszliwa wojna okaleczyła na długie dziesięciolecia.

„Gdy po powrocie dowiedziałem się, że kurduple wysyłają do Afganistanu 1000 żołnierzy, wiem już co ich tam czeka. - Jankesi już sparzyli się na wojnie partyzanckiej. Za niedługo każdy tydzień w naszym kraju będzie się rozpoczynał minutą ciszy w pałacu megakurdupla.” – Oto zapisek z mojego dziennika. Nie pomyliłem się pisząc te słowa parę lat temu. Nasi albo kogoś mordują w Afganistanie, albo ostrzeliwiają wioski i bogu ducha winnych cywilów, albo sami giną. A Jankesi jak nas dymali (Jałta), tak nas dymają (obciachowy offset za zdezelowane F16, wizy do Stanów). Nikt nie pofatygował się do Wietnamu, by zobaczyć tunele cu chi, by przypomnieć sobie, jak Wietkong walczył z Jankesami. Ja tam byłem i przywoziłem ze sobą bardzo oryginalne pomysły na okrutne pułapki, jakie zastawię u siebie w Paszczurkowie na złodziejasków.

Nocleg u wieśniaków w górach

Pola ryżowe, malownicze dolinki i wodospady, góralki poubierane kolorowo, wszędobyłskie świnki wietnamskie. Oto klimat w górach w okolicach Sa Pa. Wieczorem zamieszkałem u wieśniaków wraz czterema młodymi Chińczykami z Singapuru. Libacja przy winie ryżowym, nauka robienia sajgonek, gotowanie kolacji na ogniu, były dobrą okazją do poznania życia nie tylko Wietnamczyków, ale do wysłuchania opowieści o życiu w nowoczesnym mieście-państwie. Biedactwa mają po kilku latach pracy zaledwie kilka dni płatnego urlopu. Cały czas pracują, ciężko zarobione pieniądze (nie małe) wydają w luksusowych galeriach handlowych w drogim Singapurze, żyją jak myszy biegające w kółku: Coraz szybciej, coraz szybciej. Do śmierci. I po co? Biedactwa nie wiedziały na-

wet, co to libacja. Mi udawało się wytrzymać tempo narzucone przez naszych gospodarzy. Im wydawało się, że też. Spaliśmy pokotem na strychu na dechach i co chwila jedno z nich zbiegało na dół i jeszcze w drodze do pobliskiej sławojki jęczało „błeeeeeee...”. Rano młodzież poznała, co to kac.

Indochińskie impresje

„Tajemnicza zatoka Ha Long - ostańce przypominające mi wybrzeże koło Krabi, noc na łodzi wśród małych wysepek, farmy ryb na otwartym morzu, wprawda do dżungli na Cat Ba, owoce morza bez granic.”

„Tam Coc - jesteśmy na planie filmu Indochiny”.

Indochiny to zieleń. Ale nie zwykła zieleń. Inochiny to zieleń żarówiasta, soczysta, krzycząca. Zielone trawy i zarośla nad malowniczą i urokliwą rzeczką wśród skalnych ostańców. Różnozielone pola ryżowe wysoko w górach.

Zieleń to spokój. Ukojenie. To najpiękniejszy z kolorów. Zawsze, gdy chcę wypocząć, uciekam w zieleń. Obojętnie, czy to moje ukochane Paszczurkowo na Mazurach, Poczesna na Jurze, Azja, czy Afryka ekwatorialna. Zieleń koi, likwiduje stres, pozwala odżyć i zaczerpnąć sił.

Ludzie w Indochinach są spokojni, bo żyją wśród zieleni. Nie pędzą. Płyną powolutku łódkami, dżonkami. Gdyby nie to, że jedzą psy i koty, byłby to całkowicie spokojny, rajski obrazek.

Sajgon

Jakże inne od Hanoi jest miasto o nazwie Ho Chi Minh City. Zapisałem w moim dzienniku: „Sajgon - metropolia, sześć milionów motorowerów na ulicach, ruch całą dobę, bombowe bary”. Klimat sprzed wojny wietnamskiej. Wszystko takie żywiołowe. Nienawidzę wielkich miast. Brzydzę się Warszawą. Sylwester w Sajgonie był jednak najlepszy. Odbynał się pod znakiem „Good Morning Viet Nam!”, „Miss Sajgon!”. To prawdziwa metropolia.

Polski pilot na Phu quoc

W Sajgonie po Sylwestrze wsiadłem w mały samolot Vietnam Airlines i poszybowałem na Phu quoc, wysepkę na pograniczu Wietnamu i Kambodży. Gdy zająłem swoje miejsce, wysłuchałem z ust atrakcyjnej stewardessy instrukcji bezpieczeństwa. Następnie głos zabrał pilot. Poinformował po angielsku gdzie i jak lecimy, a następnie poprosił personel pokładowy o zajęcie miejsc do startu i ... powiedział po polsku (!): „Pan w piątym rzędzie proszę zapiąć pasy”. Gdy po 40 minutach wylądowaliśmy na maleńkiej wysepce, z kabiny pilota wyszedł rostry gość z wielkimi wąsami. Od razu podszedłem do niego, przywitaliśmy się i ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę. Okazało się, że olał z kolegami LOT, żarłoczny fiskusa i ZUS, jest profesjonalistą, pracuje, zarabia, korzysta z uroków życia w pięknym kraju. Pracuje w nowozelandzkiej firmie, nie płaci podatków, ma wszystko w dalekim poważaniu. Żyje.

Dwa światy

Po kilku dniach oddechu wróciłem do Sajgonu. Wieczorem miałem samolot do Hanoi. Cały dzień spędziłem na łażeniu po wielkiej metropolii.

Dzień wcześniej przemieszczałem się po ruchliwej Deltie Mekongu. „Delta Mekongu - plantacje owoców, ludzie żyją na rzece i z rzeki, pływający targ, tankowce na Mekongu śpieszące z ropą do Chin w towarzystwie małych dżonek”.

Wieczór w Sajgonie jest magiczny. Masz wrażenie, że jest to jądro cywilizacji: ciągły ruch, optymizm na twarzach ludzi.

Gdy po niecałych dwóch godzinach lotu wylądowałem w Hanoi, zastałem inny świat: szarość, ciszę. Tak oto zapisałem moje wrażenia w moim dzienniku: „Przelot wieczorem z kolorowego i optymistycznego Ho Chi Minh City do ponurego Hanoi - dwa światy, dwa kraje, dwa społeczeństwa”.